

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDLA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 29 SIERPŃNIA 1915

NR. 5.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



Pochód.

Fot. z nat.

A. ZNAMIROWSKI: Z POEMATU „LEGIONY”.

URYWKI Z PIEŚNI PIERWSZEJ: WYMARSZ LEGIONÓW Z KRAKOWA.

OD STÓP TWARDEGO, RWĄCEGO TUPOTU
ZDA SIĘ — WAŁ GŁĄŻNY DOKOŁA SIĘ SPIETRZA
W KSZTAŁT ZWICHRZONEGO ORKANEM WYKROTU,
JAWIACY OZOM TO, CO KRYJĄ WNETRZA
TYCH DUSZ, PORWANYCH EKSTAZĄ ODLOTU
W STRONĘ, GDZIE BŁYSNAĆ MA CHWILA NAJŚWIĘTSZA
OFIAROWANIA KRWAWYCH ŻYCIA GODZIN,
JUTRZNI ZAŚWIATNYCH, ZWYCIĘSTWA NARODZIN.

SAMOTNI IDA I PRZEPASTNIE CISI,
W NIEZMIERZONOŚCI TAJEMNE NIESIENI
SNEM, CO SIĘ WE KRWI JUŻ PRĘŻY TYGRYSI,
ŻAR LEJĄC W FURĘ STAŁOWĄ GOLENI
I MIAŻDŻĄC PŁACZ TEN, CO JESZCZE KAPRYSI
GDZIEŚ TAM NA SERCA DNIĘ, WŚRÓD WSPOMNIEŃ
[CIENI,
GDY SIĘ W POSEPNĄ, DRĘTWĄ SKAMIENIAŁOŚĆ
ZAKUWA OCZU KRZYK I LICA ŻAŁOŚĆ.

POCHÓD POSAGÓW! TŁEM ŚMIERTELNA BLADOŚĆ
PRZESTWORÓW, W JAKICHŚ BEZDNACH WIBRUJĄCA,
JAKĄS OLBRZYMIĄ, NIEOBJĘTA RADOŚĆ
Z NIEZNANYCH DALI WYPROMIENIUJĄCA,
SREBRNA OD TĘSKNOT, KTÓRYM NIGDY ZADOŚĆ,
KTÓRE PRZEZ NOCE NIOSĄ SIĘ I SŁOŃCA,
BY SIĘ W SPIENIONE LEJE PRZEZNACZENIA
RZUCIĆ, JAK W ROŚNYCH TĘCZ CICHE OLSNIENIA.

BAŚŃ — CHWILA: CICHY NIEPOJĘTY TANIEC
PLAM ŚWIETLNYCH, ŚWIETLNYCH UŁUD WIDZIADLA-
[NYCH,
BŁĘKIT SZEREGÓW, ZWARTYCH W GŁUCHY SZANIEC,
W BEZKRESNY AKORD JASNOŚCI WESSANYCH,
JUŻ SIĘ ZDAJĄCYCH WYCHYLAĆ NA KRANIEC
ZJAW, DOCZESNOŚCIĄ WZROKU OGLADANYCH:
ZWID WDWANIAJĄCY W BLASKÓW DRŻĄCA SZKLI-
SWĄ ŻŁOTĄ CHWILĘ I SWĄ WIEKUISTOŚĆ. [ISTOŚĆ

I ROŚNIE W OZCZACH SEN POCHODU CHMURNY —
ZDA SIĘ — GERLACHY MU SIĘ I ŁOMNICE
ŚCIELĄ POD STOPY DUMNE ZA KOTURNY,
STRASZLIWIE ŁAMIĄ OCZU BŁYSKAWICE
WID POWSTAJĄCEJ GDZIEŚ Z BEZKRESÓW URNY,
KTÓREJ PROCH SMĘTNY JUŻ NIOSĄ WICHRZYCE
KU TYM MŁODZIEŃCZYM CIAŁOM — PROCH ICH WŁA-
O BLASKU, ŚMIERCI POKONANIEM JASNY! [SNY

O! BLASKU OCZU, KTÓRYCH NIE ZATRWOŻY
JUŻ NIC, WYPARTYCH ZA ZIEMI KRAWĘDZIE
W PORYWIE, CO SIĘ BEZKREŚNIE WIELMOŻY
PONAD TEM WSZYSTKIEM ,CO JEST I CO BĘDZIE
I RWIE SIĘ NAPRZÓD WCIAŻ, RADOSNY, HOŻY
I NIEŚMIERTELNOŚĆ NA NICOŚCI GRZEDZIE
W TRUDZIE ZASIEWAĆ CHCE, W TWARDYM MOZOLE,
A ZA NAGRODĘ MIEĆ MAK AUREOLE.

BO OTO WIEKI W MĘCE PRACOWAŁY,
BY SIĘ TAK WYŚNIŁ BŁĘKIT TYCH SZEREGÓW,
OJCAMI BYŁY IM RYCERSKIE CHWAŁY,
WYBUCHAJĄCE Z RAM ZŁOCISTYCH BRZEGÓW
W KOMNAT ZACISZA, KĘDY OSZALAŁY,
NA UPIOROWYCH TŁACH STYCZNIOWYCH ŚNIEGÓW,
BŁYSŁ NIERAZ KRWAWO SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI
ROK — NAD NIM ŻŁOTY KOROWÓD STULECI.

OJCAMI BYŁY IM RDZAWE POŁYSKI
SZPAD ROZWIESZONYCH NA STLAŁYCH DYWANACH
I DZIEŃ CZEKANY, DZIEŃ ZMARTWYCHWSTAŃ BLISKI
Z WINEM SIĘ PIENIŁ W PYSZNYCH ROZTRUCHANACH,
DUSZE STAWAŁY SIĘ, JAKO POCISKI
NA PIORUNOWYCH NIESIONE RYDWANACH
W OLBRZYMICZ ZDARZEŃ CUDNĄ PROMIENISTOŚĆ,
W SNÓW, WYDZIERANYCH NOCY, RZECZYWISTOŚĆ.

KRAKÓW 1914.



ARTUR GROTTGER.

POLO니아 III. — KUCIE KOS.

NIECH KU PÓLNOCY Z CICHEJ SIĘ MOGIŁY
PODNIESIE NARÓD — I LUDY PRZELEKNIĘ,
ŻE TAKI WIELKI POSĄG — Z JEDNEJ BRYŁY
A TAK HARTOWNY, ŻE W GROMACH NIE PEKNIĘ,
ALE Z PIORUNÓW MA RĘCE I WIENIEC,
GARDZĄCY ŚMIERCIAŁ WZROK — ŻYCIA RUMIENIEC.

J. SŁOWACKI: GRÓB AGAMEMNONA.

<http://rcin.org.pl>

ZAPISKI PORUCZNIKA PEK SZYCA - GRUDZIŃSKIEGO

OPRACOWAŁ J. KADEN BANDROWSKI.

Tak prędko bieży fala wojny, tak żywo splywa nurt krwi, że nie zawsze dojrzeć w nim można i w porę zatrzymać i ogółowi polskiemu przekazać — skarb bezcenny, jaki wraz z tą falą nieznanym siłom pamięci



Marsz nocny.

Fot. z nat.

powszechnej przekazuje los. Skarby te, dziś w tak skromnej i szarej kryją się szacie i tyle w nich niezwykłej prostoty i taki brak wszelkiego zewnętrznego wyglądu, że należy innemi na nie patrzeć oczyma, niż na to, cośmy w chwilach pokoju zauważać przywykli... Należy mierzyć te rzeczy tak, jak ruchy i czyny kogoś, kto pozostaje wobec ciągłego niebezpieczeństwa, stoi na pograniczu życia i śmierci. Nie obdarzy was ten ktoś nader wybitnym słowem ani harmonią giestu, natomiast darzyć może bezcenną twardością słowa i celowością każdego poruszenia. Przymioty te składają się na typ nowego piękna, które nic o sobie nie mówi, lecz działa za siebie.

W piękno to obfitują pamiętniki, jakie znaleziono w tornistrze porucznika Grudzińskiego.

Są to trzy kajety szare, oprawione w połupaną i wystrzępioną ceratę, z tych dwa maleńkie notesiki, raczej niż kajety, a jeden duży, gruby zeszyt. Na tych stronnicach znajdziecie ołówkiem pisane to wszystko, co porucznik Grudziński uznał za godne zapisania od początku wojny do swej śmierci.

Zaiste, dawno takich pamiętników w Polsce nie było: pierwsze w nich miejsce i ostatnie zajmuje Służba i jej sprawy. Wszystko, co nie jest tą służbą wojenną, wszystko, co bezpośrednio nie ma z nią związku, jest na ostatnim planie, raczej kryje się po kątach stronic lub się snuje na ich wąskim marginesie.

Chcąc wyciągnąć wniosek o duszy Grudzińskiego, z tego co w notesach swych napisał, powiedzieć musimy, że dusza ta żyła, żyć mogła tylko ideą i pracą, z najsurowszem pominięciem wszystkiego, co w elementach tej pracy i idei znikomem było, doczesnem i przemijającym. Grudziński żył, patrząc prosto — zda się, powiek nigdy nie mrużąc — w słońce wyniosłego swego celu, którym był ...oreź polski. Zdumiewającą jest ta surowa niepamięć miłych zewnętrznych stron życia, w jakiej tonęło wszystko, co ku wielkiemu celowi nie zmierzało. Zdumiewającym jest brak wszelkich wątpliwości i twarda, pozornie nawet oschła prostota z ja-

ką brał udział w tych, równie tragicznych jak romantycznych rozwojach i fazach obecnej wojny.

Oto jak zaczyna się pamiętnik:

29 lipca 1914. Koło 6 rano przyjechałem z kursu Drużyn z Nowego Sącza. Pakowałem się. Popołudniu byłem na cmentarzu na grobach mamy i Gucia, wieczorem o g. 10 m. 55 wyjechałem z Krakowa.

30 lipca 1914. Lwów. Przyjechawszy, byłem u spowiedzi i Komunii. Potem na cytadeli w 30 p. p. Zameldowałem się. Stąd wzięto mię do szkoły św. Magdaleny, gdzie ekwipowano wszystkich rezerwistów z IV batalionu.

Są czasy pełne gorącej egzaltacji, pełne wybuchów wojen, które czynią ze starej, starannie zabudowanej, pilnie eksploatowanej Europy, jedno olbrzymie pole walki, przecięte linią okopów od Bałtyku po Siedmiogród. Nie przepają one luną uniesienia pisma Grudzińskiego. Przyjmuje on je poniekąd obojętnie, a raczej, jak człowiek, który ma w nich zupełnie co innego do zrobienia, niż to, co dzieje się naokół.

Po walkach na Czarnogórskim froncie, dostaje się Grudziński do oddziałów strzeleckich, stojących w Kielcach. Więc wraca do początku armii polskiej, wraca tam, skąd wyszedł; do tego, czemu wiele lat pracy przed wojną poświęcił. I wówczas jednak ton jego pisanania nie ulega zmianie zasadniczej. W zbiorze tych jego wrażeń jakgdyby brak było postawy emocjonalnej. Postawa ta bowiem była całkowicie w służbie, którą sprawiał.

29 sierpnia. Cały dzień jazda gościńcem warszawskim. Po południu w Jędrzejowie. Tu nas zatrzymano na noc, ponieważ według wieści, oddział kozaków krąży koło miejscowości. Byłem komendantem pogotowia aż do rana.

30 sierpnia. O 12 w południe przyjechaliśmy do Kielc. Do wieczora chodziłem z dawnymi drużyniakami. Byliśmy w mleczarni.



Kuchnia polowa.

Fot. z nat

31 sierpnia. Nie mając jeszcze przydzielenia, cały dzień się wałęsałem, nic nie robiąc.

Nareszcie — 3 września otrzymałem komendę batalionu VI (rekruckiego).

4. września. Rano lustracja batalionu na błoniach. Popołudniu porządku.



Musztra.

Fot. z nat.

5 września. Rano przysięga austriacka przed generałem Baczyńskim (austr.).

Popołudniu ćwiczenia z rekrutami na błoniach. Brak szarż.

6 września. Cały dzień praca w batalionie. Otrzymałem 10 szarż krakowskich.

7 września. Prowadziłem cały dzień ćwiczenia batalionu. Wieczorem odprawa w sztabie, potem w batalionie.

8 września. Rano ćwiczenia na błoniach, popołudniu karabinami na podwórzu w koszarach, wieczorem odprawa w sztabie, potem w batalionie.

9 września. Rano i popołudniu ćwiczenia batalionu na błoniach (na południe od Kielc, zwykle pole ćwiczeń). Wieczorem odprawa w sztabie, potem w batalionie“.

Ten dzień żołnierski powtarza się prawie niezmiennie, z małymi tylko warjantami. „Wymarsz, ćwiczenia i kwatery“, oto jakgdyby osi, koło których kręci się cały los, całe życie oficera Grudzińskiego.

Byłoby rzeczą naturalną i całkiem ludzką i powiem serdeczną, miłą, gdyby tu i ówdzie zjawiał się wśród tych nieustannych obowiązków głos „szturmu, naporu“, jakiegoś lirycznego zamachu. Ten głos się nie zjawia. Ani na chwilę nie opuszcza tej duszy w rozmowach samej z sobą, spokojna twardość charakteru.

W bitwach pod Opatowcem Grudziński nie brał udziału, bo był odkomenderowany do ćwiczenia batalionu uzupełniającego w Wadowicach (Choczni). Wrócił na front 24 września. Porucznikiem mianowany został w październiku.

Oto, jak o tem pisze:

11 października. Na kwaterach w Janowicach bagnistych. Z Komendy Głównej przyszło mianowanie na porucznika dla mnie rozkazem z 9. X. 1914.

12 października. Kwatery w Janowicach. „Biba“ wieczorem w plutonie drugim.

13 października. Marsz z Janowic do Boryi. Kwatery w Boryi.

14 października. Marsz z Boryi do Olechowa. Kwatery w Olechowie. Noc pogodna. Kometa na północnym zachodzie“.

Uwaga o pogodzie jest w pamiętnikach Grudzińskiego rzadkością.

15 października. Marsz z Olechowa do Błazin. Kwatery w Błazinach.

16 października. Marsz z Brzezina do Chomętowa. Kwatery w Chomętowie.

17 października. Kwatery w Chomętowie. Rekwizycja jabłek u żyda.

18 października. Marsz z Chomętowa do Bartodziejów. Kwatery w Bartodziejach.

19 października. Marsz z Bartodziejów do Podlinówka. Kwatery w Podlinówku.

20 października. Kwatery w Podlinowie. Ćwiczenia batalionu.

Z ostatnich dni widać, że I Brygada maszerowała ustawicznie, jak to się dzieje zwykle przed bitwą.

21 października. Na wiadomość, że część sił moskiewskich przeprowała się na lewy brzeg Wisły, Prusacy wycofują się z pod Dębli. Nas przesunięto z Linowa do Lipin. Kwatery w Lipinach. Kompania 1-sza na forpocztach w związku z forpocztami austriackimi. Nawiązałem łączności placówek naszych z austriackimi.

22 października. O 4 rano wymarsz z Lipin (marsz bojowy) do Pionek. Stąd przesuwno nas jako rezerwę pułkową przez lasy aż do wsi Laski, obok której rozgrywała się silna bitwa. Myśmy byli w rezerwie, w ogniu był III batalion strzelców (Śmigłego). Spaliśmy we wsi Laski pod gołym niebem na słomie.

23 października. O 5. rano silny ogień karabinowy na północnym wschodzie wsi. Pozostaliśmy we wsi Laski do kwadrans na 3. pop. Koło 12. godz. Moskale zaczęli ostrzeliwać wieś armatami. O kilkadziesiąt kroków od nas granat uderzył w stodołę, zburzył ją i zabił dwóch strzelców, znajdujących się w niej. Jednego przeciął na pół. O kwadrans na 3. otrzymałem rozkaz ruszenia do linii na północny wschód od Lasek (złączenie linii). Zaraz za wsią rozwinąłem kompanię w tyralierkę (dwa plutony, dwa w rezerwie). Teren równy — płaski. Ubiegłszy jakieś 2,000 koroków, dostałem kulą w lewą nogę poniżej kolana i zdałem komendę kompanii na Boreckiego. Było coś blisko 3. godz. popołudniu. Trochę zacząłem pełzać ku wsi (jakieś 100 kroków), potem zacząłem okopywać się i przeleżałem tak do 7 wieczorem. Gdy się ściemniło, ogień ustał i kilku z mojej kompanii wzięło mię do wsi. Tutaj mię opatrzone. (ambulans batalionowy).

24 października. Rano wsadzono mię na furę i wraz z innymi rannymi wieziono cały dzień do Radomia“.

Tak może pisać żołnierz stary i doświadczony o bitwie, w której srożył się wściekły ogień artyleryjski, często grasowała śmierć, lecz przecie zdawałoby się, nie tak będzie pisał — młodzieńki porucznik. Niczemże mu są te chwile spoczynku nocnego, gdy żołnierz śpi pod gołym niebem, a jutro pod tem samem niebem leżeć już tylko będzie twarzą spokojną, po raz pierwszy zwrócony ku wieczności?...

Niczem mu te Laski, chałupa po chałupie płonąca



Tyralierka.

Fot. z nat.



Odpoczynek.

Fot. z nat.

i te 2000 kroków w ogniu karabinowym i żadne z tych lirycznych uczuć się w nim nie zrodziło, które szarpia młode dusze lecz je także hartują?

Przeżywał te uczucia Grudziński, jak każdy dzielny człowiek, lecz nie uznał za słusne i potrzebne utrwalać. Uważał te rzeczy za sprawę uboczną, drugorzędną. Nie warto mu było czasu na to tracić. Dusza ta cieszyła się służbą, którą sprawiała, bez wszelkiej ozdoby dramatycznej. W tym właśnie opisie bitwy widać, iż Grudziński walkę i bohaterstwo uważał za surowe prawo swej duszy i czynów swych, a czyny swe sądził nie wysiłkiem ofiary, lecz korzyścią dokonanego zadania.

Grudziński, ranny, leczyl się w szpitalu wojskowym w Reichenbach, następnie w Hranicach na Śląsku.

5 listopada. W szpitalu w Hranicach. Odwiedziły nas trzy Polki z Bochni. Chodzić jeszcze nie mogę.

[Ani słowa o zmęczeniu, wypoczynku, bólu z powodu rany].

6 listopada. W szpitalu w Mährisch Weisskirchen. Dzisiaj już mogę zostać na dwu nogach. Chodzę o kulach.

7 listopada. W szpitalu w Mährisch-Weisskirchen. Od biedy mogę chodzić już na dwu nogach.

Grudziński nie mógł się doczekać wyzdrowienia i tak za pierwszym razem jak za drugim, gdy był ranny pod Wszachowem w maju, — uciekł ze szpitala do linii.

8 listopada. W szpitalu. Leżałem cały dzień.

Potem, prócz stale powtarzającej się wzmianki o odwiedzinach tych Polek, krótkie i lakoniczne: W szpitalu". Widocznie przedwczesnym wstaniem, nadwyręzył sobie nogę i musiał być leżeć.

14 listopada. W szpitalu. Już chodzę.

15 listopada. W szpitalu. Prosiłem doktora o puszczanie do Krakowa, ale się nie zgodził.

Dnia 21 listopada, otrzymawszy urlop, wyjechał Grudziński ze szpitala za pułkiem.

28 listopada. „Przyjazd wozem do Jurkowa, do pozycy strzeleckich. Zameldowałem się u Piłsudskiego“.

Od końca listopada aż do połowy grudnia powtarzają się, prócz notowania marszów i kwater, dwa słowa — „w sztabie“ lub „przydzielenia jeszcze nie mam“.

Grudziński niecierpliwił się, ustawicznie rwał się z powrotem do swej kompanii, mimo, że niedogojona jeszcze rana nie pozwoliłaby mu podjąć trudów piechura.

Aż 19 grudnia przyszło to przydzielenie; zapiska, w przeciwieństwie do innych kwestyi atramentowym ołówkiem i staranniejszym charakterem: „Nowy Sącz.

Otrzymałem tymczasowo komendę batalionu IV, obecnie I-go w pulku 2-gim (Norwida). Cały dzień zeszedł mi na obejmowaniu czynności“.

Jako komendant tego batalionu, walczył Grudziński pod Łowczówkiem, gdzie doskonale wywiązał się z zadania.

Po tej bitwie odwołany do sztabu, pracował w nim, w czasie pobytu w Lipnicy murowanej, następnie zaś podczas przemarszu do Kęt jako kwatermistrz.

24 stycznia 1915 został Grudziński komendantem placu w Kętach.

Znowu notatki stają się nadzwyczaj lakoniczne, czasem ograniczające się do suchego zanotowania daty, i — „komenda placu“.

Na posterunku tym zachowywał się i pracował młody porucznik znakomicie, zaprowadzając wybornie rygor koszarowego życia. Mimo, że musiał być z racyi swego urzędu wyznaczać kary, zamykać do kozy, etc., nie umiał i nie potrafił sobie nikogo narazić.

9 lutego. Robota w komendzie Placu. Cały dzień jestem chory ze szczepienia. Wieczorem z Dzieduszyckim na zabawie stajennych.

10 lutego. Robota w komendzie placu.

Od 10-go do 14-go tylko dwa słowa w pamiętniku — : „Komenda Placu“.

Aż 15-go lutego rzecz charakterystyczna:

„Rano zbudziłem się, mając przykry sen. Śniła mi się wróżka, która zapowiedziała mi, że zginę „za ośm dni od jutrzejszej daty“. Nie wierzę w to, bo niema w tem mojej woli“.

Ostatnie to zdanie daje zupełną charakterystykę duszy Grudzińskiego. Ten żołnierz szedł na wojnę z tem silnem, dumnym przekonaniem, że i tu żaden przypadek dowolny stać się może; że i tu — jak w czasie pokoju uczynki swe i postąpienia — będzie w rozkazach własnej woli trzymać swe życie: że wbrew swej woli nie zginie.

Inna jest rzecz, jak zrzucił los. Obchodzi nas to zawzięte przekonanie Grudzińskiego, zawierające w sobie tęgi światopogląd, rozległy system, cały stosunek jednostki do zmiennego szczęścia wojny, — oparty na woli tej jednostki.

Przecucie śmierci nie powtarza się już więcej na kartkach pamiętnika Grudzińskiego.

Po wymarszu z Kęt do Królestwa brał udział por. Grudziński we wszystkich bojach I Brygady na Nidą, następnie w bojach pod Konarami, wreszcie detaszowany z batalionem VI (drugim III pulku I Brygady) walczył pod Żernikami.



Turmanki z rannymi.

Fot. z nat.

Cały ten okres od lutego do czerwca cechuje tasama zwieźła oschłość, tasama prostota, z jaką notował swe życie wojenne na pierwszych stronicach. Można stanowczo powiedzieć, że ten rok wojny i tylu trudów, bólów, doświadczeń w niczem Grudzińskiego nie zmienił. Był on przygotowany na to wszystko już przed wojną, w czasie pokoju, tą surową i wzniosłą atmosferą żył zawczasu.

Można z tą samą stanowczością powiedzieć, że rozwój wojska polskiego z kader w armię mocną i dzielną, nie wywołałby na kartkach pamiętnika burzy radosnej. Grudziński żył w atmosferze tej armii, która wielką stać się musi i do wszystkich zjawisk tę właśnie miarę przykładał.

Oto opis ostatniej bitwy w jakiej Grudziński brał udział:

23 maja. Do południa w okopach we Wszachowie, popołudniu koło godz. 2. ruszyliśmy długą linią tyralierską przez las Łapiguz z Wszachowa w kierunku na Baranówek. Obsadziliśmy wschodnią część lasu; przez czas ciągnięcia naszego przez las, linia urwała się i ja jeden z częścią kompanii zaszedłem dobrze, reszta wszystko zaдуło na prawo i później trzeba było wszystko naciągać na północ. Tutaj okopaliśmy się na kraju lasu i czekaliśmy. Popołudniu od prawego skrzydła austriackiego rozpoczął się atak austriacki. My także poszliśmy naprzód: w linii tyralierskiej 3. kompania, mająca kierunek (?) i II i III pluton kompanii 4-tej. (I poszedł w rezerwie, jak również inne kompanie). Szli-

my przez Baranówek na Żerniki. Koło Baranówka rozpoczął się silny ogień artylerii rosyjskiej na naszą linię (ranny Bury i Zaremba). Dochodząc do Żerników, byliśmy coraz silniej ostrzeliwani, a w Żernikach ogień skoncentrował się tylko na nas. Padł zabity Darocha, ranny Słowik, kapral Kondysar, Engler, Mach, podpor. Dojan, Rotułowski.

Ja dostałem kulą szrapnelową lekko w bok. Opatrzył mnie sanitaryusz Belohlawek, poczem nie poszedłem już do linii utworzonej na wzgórzu, na wschód od Żernik.

Wywieziono nas wozami przez Baćkowice“.

I znów ani słowa żalu nad zgonem Darochy, który był osobistym przyjacielem Grudzińskiego. Ani słowa lirycznego żalu dla żołnierzy, których Grudziński szczerze kochał. Ileż razy zgarniał gdzie się dało orzechy i z pełnemi kieszeniami szedł do szeregowców, lub na „bibę“ do plutonu! Ileż razy w Kętach częstował nocne warty cukierkami i cygarami, skrzętnie przez siebie dla żołnierzy zbieranymi. Więc nie brak czułości i serca powodował Grudzińskim: nie to było powodem oschłości notatek a tylko, że będąc sam na sam z sobą, że pisząc historię swych wojskowych wydarzeń, utrwał jedynie rzeczy poniekąd powszechnego, przedmiotowego znaczenia.

Ta właśnie miara podziw wzbudza i głębokim napełnia szacunkiem dla charakteru tego oficera, który stale i bezmiennie ujmował się w kategoriach obranej przez się sprawy, (D. c. n.)



Rys. Rozwadowski

PIOTR RYSIEWICZ: TO SIĘ PAMIĘTA!...

IDA SZEREGI, SZUMIĄ SZTANDARY,
W SŁOŃCU SIĘ SREBRZY BAGNETÓW STAL,
Z PIEŚNIĄ POTEŻNEJ, MŁODZIENCZEJ WIARY
WZROK SIĘ W ŚWIETLANĄ WPATRUJE DAL...
WYSZLI NA BOJE — NIE DLA ZDOBYCZY! —
ZA CAŁY W PĘTACH PRZEŻYTY WIEK,
ZA MORZE KRZYWDY, KTÓRYCH NIE ZLICZY
ŻADEN NA ŚWIECIE ŻYJĄCY CZŁEK.
I WIEDZIE ORZEŁ SWOJE ORLETA,
ZE SWOICH DZIECI DUMNY I RAD...
— TO SIĘ PAMIĘTA, ZAWSZE PAMIĘTA
CHOĆBY ŻYŁ CZŁOWIEK I TYSIAC LAT.

WOJNA, HEJ, WOJNA!... JUŻ WRÓG DOKOŁA
NISZCZY I PALI I SIEJE MORD,
JUŻ MIASTA LUDNE, KWITNĄCE SIOŁA
ZNIKŁY POD STOPĄ NAJEŹDŹCZYCH HORD...
JAK POŻAR W STEPIE, WOJNA SIĘ SZERZY,
I RZEKĄ PŁYNIE CZERWONA KREW,
JAK W TANIEC IDĄ W BÓJ BOHATERZY,
JAK BURZA HUCZY O ZEMŚCIE SPIEW.
HOJNIE SIĘ ŻYJNI KRWIĄ ZIEMIA ŚWIĘTA,
ZAŚCIELIŁ POŁA NARODU KWIAT...
— TO SIĘ PAMIĘTA, ZAWSZE PAMIĘTA
CHOĆBY ŻYŁ CZŁOWIEK I TYSIAC LAT.

O, TY WSI POLSKA, CICHA, SPOKOJNA,
STOSIE OFIARNY SŁONECZNYCH ZÓRZ,
OTO CI SPOKÓJ ZMACIĘŁA WOJNA,
KTÓRA KU TOBIE ZBLIŻA SIĘ JUŻ.
I JUŻ NIE WYJDA ZBOŹNI ORACZE
JESIENNYM RANKIEM NA MODRA BŁOŃ...
Z CHAŁUP TŁUMIONE DOCHODZĄ PŁACZE
HEJ! RZY U PŁOTU UŁAŃSKI KOŃ!
DZIWNIE CZERWONO ZASZŁO DZIŚ SŁOŃCE,
Z ODDALI GŁUCHY WCIAŻ SŁYCHAĆ HUK
A KU WSCHODOWI NOWI OBROŃCE
CIAGNĄ W POŚPIECHE... ZBLIŻA SIĘ WRÓG...

JAK OWCE, KTÓRYM BRAKŁO PASTERZA,
JAK PTAKI, KTÓRE WYGNANO Z GNIAZD —
TAK LUD BEZDOMNY DROGI PRZEMIERZA
OD KRAJÓW W KRAJE, OD MIAST DO MIAST...
WLECZE SIĘ DROGA DŁUGA, DALEKA,
CIERŃ OKRWAWIONYCH CZEPIA SIĘ STÓP,
CZYJEŚ TAM SERCE KRWAWO OCIEKA,
JAKIEJŚ TAM WIARY OGROMNEJ GRÓB,
CZYJŚ BÓL W BLUŻNIERSKI SZAŁ SIĘ ROZPĘTA
PO KIMŚ NA WIEKI ZAGINIE ŚLAD...
— TO SIĘ PAMIĘTA, ZAWSZE PAMIĘTA,
CHOĆBY ŻYŁ CZŁOWIEK I TYSIAC LAT.

WIEDENŃ, W MARCU 1915 R.

WOJENNE DZIEJE WARSZAWY.



Transparent w teatrze warsz. na przedstawieniu *Andromedy* 1812.

Muz. Czapskich.

*Tak Polska z losów kolej
Z gruzów swoich ożywiona
Ujrzała cel swych nadziei
Wielkiego Napoleona*

*Mąż wielki zrządził tę zmianę
Zdumiewa się ziemia cała
Ledwie opuścił Sekwanę
Już Go zwycięscą Wisła ujrzała.* (Osiński).

IV.

Trzeci rozbiór Polski: traktatem prusko-rosyjskim z 24 października 1795 dostał się Prusom cały kraj po lewej stronie Wisły z Warszawą, jako głównym miastem tej prowincji, nazwanej „Prusami Południowymi”. Skutkiem upadku państwa, musiała i stolica podpaść: z dawnych 100,000 mieszkańców zeszła na niecałe 55,000.

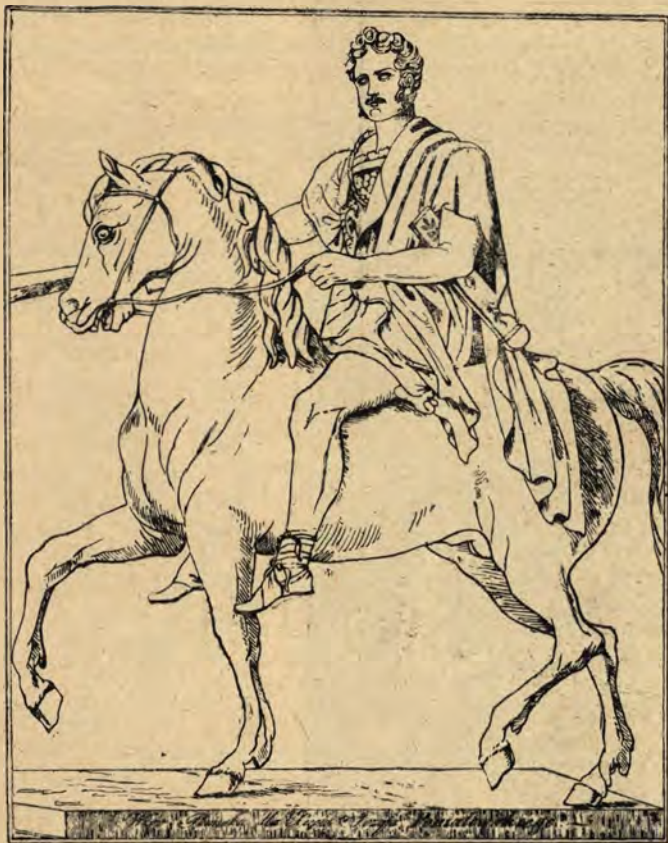
Rządy pruskie niedługo przetrwały klęskę pod Jeną. Do Warszawy opróżnionej przez Prusaków, na czele wojsk francuskich wkroczył 28 listopada 1806 r. szwagier Napoleona, X. Joachim Murat, który tegoż dnia donosi cesarzowi o przyjęciu, jakiego doznał:

„...Nigdy w życiu nie widziałem tak silnego wybuchu uczuć narodowych. Wszedłem do tego miasta wśród okrzyków rozbrzmiewających po tysiąckroć: „Niech żyje Cesarz Napoleon, nasz oswobodziciel!”

„Oswobodziciel” Napoleon uprzedził przygotowane dlań uroczystości, w nocy z 18 na 19 grudnia przyjechał konno z Błonia i zamieszkał w zamku, a po pięcio-tygodniowym pobycie odjechał do wojsk nad Narew. Nadzieje Polaków, pokładane w zwycięscy pod Iłżą, nie spełniły się; zamiast obiecywanego państwa polskiego utworzył pokojem w Tylży (7 lipca 1807) tylko Księstwo Warszawskie, które niebawem stało się widownią wojny, wypowiedzianej przez Austryę Napoleonowi w r. 1809. Po bitwie pod Raszynem przeszła Warszawa chwilowo w ręce Austryaków, którzy ją zajmowali od 23 kwietnia do 2 czerwca. Zamykający tę wojnę pokój Wiedeński powiększył X. Warszawskie o prawie tysiąc mil kwadratowych i półtora miliona mieszkańców: przybyły ziemie lubelska, radomska, krakowska i siedlecka, co, rzecz prosta, przyczyniło się do rozwoju stolicy.

Jak orkan przeleciał nad Warszawą pamiętny „rok wojny” 1812. Rozgromiony pan świata w powrocie z pod Moskwy, chyłkiem tylko przemknął się przez miasto, popasając w hotelu Angielskim. Niebawem, nakształt pochodu żywych trupów, jęły ciągnąć przez Warszawę bezładne gromady niedobitków napoleońskich. — Od r. 1813—1815 stolica polska znalazła się znowu w posiadaniu rosyjskiem. Utworzenie Królestwa Kongresowego było wprawdzie ulgą niemалą w położeniu narodowem, ale sprawę polską załatwiała tylko połowicznie, tembardziej, że Rosya zaczęła wkrótce gwałcić konstytucję, nadaną przez Aleksandra I, a bezwzględna, niepohamowana i dzika natura W. Księcia Konstantego na każdym kroku dawała się we znaki. W samowoli swej nie liczył on się nawet z wyraźnymi rozporządzeniami cesarskiemi. W r. 1815 Aleksander zezwolił na wzniesienie pomnika X. Józefowi Poniatowskiemu na publicznym placu w Warszawie. Thorwaldsen, do którego zwrócił się Komitet pomnikowy z X. Adamem Czartoryskim na czele, podjął się wykonać posąg „na koniu, w małym galopie, a księcia — w momencie, gdy armię do boju zachęca — w rzymskim stroju”... Na to Konstanty odburknął kasztelanowi Linowskiemu: — „A cóż zrobił takiego X. Poniatowski, by mu aż konny posąg stawiano?!“ Gdy zaś była mowa o wyborze miejsca, chciał pomnik wyrugować do Jabłonnej. Nawiasem dodać trzeba, że Thorwaldsen spóźnił się z tem dziełem tak dalece, że ostateczny od-

lew gotów był dopiero po powstaniu w r. 1832 i na części rozebrany, leżał w Modlinie; — car Mikołaj I darował go Paskiewiczowi, który przeniósł go do swej rezydencji w Homlu i tam ustawił na terasie przed pałacem, gdzie go nikt nie widzi.



X. Józef Poniatowski przez Thorwaldsena. niepodp. szt. wsp. M. Cz.

Ale dokuczliwości W. Księcia w sprawie tego pomnika niczem były w porównaniu do jego ciągłych znęcań się nad polskimi żołnierzami i obelgami, wyrządzanymi oficerom, podczas publicznych parad na placu Saskim. W mieście rosło z tego powodu rozgoryczenie, zwłaszcza, gdy zdarzały się nawet samobójstwa sponiewieranych oficerów; wielu z nich szło za przykładem Chłopickiego, który po burzliwej scenie z Konstantym podał się do dymisji, co tem bardziej wzmoгло popularność generała, wslawionego z wojen napoleońskich.

Zaczęły się zawiązywać tajne organizacje, jak „Towarzystwo patriotyczno-narodowe“, założone przez majora Łukasińskiego. Po wykryciu sprzysiężenia, Łukasiński a z nim podpułkownik Dobrogojski i porucznik Dobrzycki stanęli przed sądem wojskowym pod zarzutem zdrady stanu. Konstanty szalał z wściekłości; pod jego naciskiem zapadł wyrok, skazujący Łukasińskiego na dziewięć lat a tamtych obu na sześć lat robót przymusowych, z utratą rang i odznak honorowych.

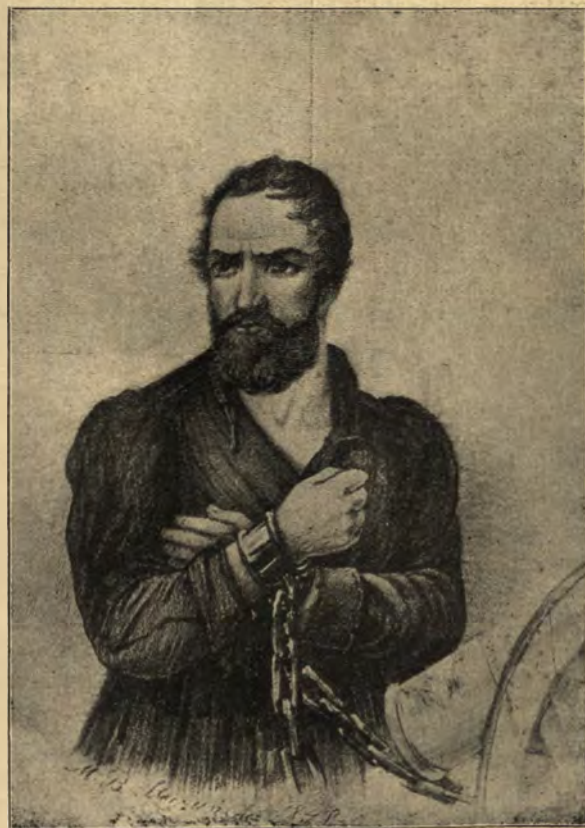
— „Okropny to był dzień 1 października 1824 r. dla Warszawy — pisze naoczny świadek, generał Prądyński — okropna ta parada na placu Krasińskich dla polskiego wojska, gdy te trzy ofiary myśli patriotycznej... w odzież zbrodniarzy ubrani, w kajdany zakuci zostali“... Z ogolonemi głowami, pchając przed sobą taczki, musieli przy biciu w bębny przejść przed frontem.

Straszny był los Łukasińskiego: po wybuchu powstania próżno chciano go wyswobodzić; W. Książę,

z Warszawy uchodząc, nie zapomniał o nim. Jak pisał *Dziennik Powszechny* z r. 1830 — „w nędznej siermiędze, z brodą po pas, pod strażą konną z dobytymi pałaszami“, wleczone był za Bug i w końcu zamknięty w twierdzy Schlüsselburskiej, gdzie zmarł dopiero w r. 1865, po blisko czterdziestoletniem więzieniu!

Tymczasem proces przeciw Łukasińskiemu i towarzyszący mu, ich zasądzenie i tragiczna degradacja, podrażniły tembardziej społeczeństwo. Towarzystwo patriotyczno-narodowe nie przestało istnieć, ale zyskiwało coraz członków i nawiązało stosunki z petersburskim spiskiem „Dekabrystów“, który wybuchnął i zaraz stłumiony został podczas wstąpienia na tron cara Mikołaja I w r. 1825. Pociągnęło to za sobą wykrycie Towarzystwa patriotyczno-narodowego. Nastąpiły aresztowania w Warszawie i całym kraju. Najpoważniejsi obywatele, jak kasztelan Soltyk, pułkownik Krzyżanowski, hr. Roman Załuski i w. i. zasiedli na ławie oskarżonych. Polski sąd sejmowy, pod przewodnictwem senatora Piotra Bielińskiego, nie mogąc ich zgolić uwolnić, wydał wyrok nader łagodny (r. 1828), co wywołało ze strony rządu petersburskiego groźby i represje. Koronacja Mikołaja na króla polskiego i zaprzysiężenie konstytucyj w r. 1829 umysłów uspokoić nie mogło: naród wiedział z gorzkiego doświadczenia, jak carskie rządy, wbrew przysiędze, konstytucję deptać umieją, zwłaszcza, że „król polski Mikołaj“ zamknął sejm mową nic dobrego nie wróżącą.

Wyzwolenie Grecji z pod jarzma tureckiego, rewolucja lipcowa w Paryżu i rewolucja belgijska działały podniecająco. Kursowały z rąk do rąk ulotne odezwy, na drzewach przylepiano kartki z napisem „Belweder do wynajęcia“. Piotr Wysocki w szkole podchorążych zawiązał sprzysiężenie, do którego należało wiele niewojaskowej także młodzieży.



Łukasiński.

Rys. M. B. Stęczyński. Muz. Czapskich.

V.

Noc 29. listopada 1830. W parku Łazienkowskim na moście biejeje w ciemnościach ogromne konne widziadło — kamienny król Jan III. Pod pomnikiem gromadzą się sprzysiężeni, sama cywilna młodzież, pod wodzą Ludwika Nabelaka i poety Seweryna Goszczyńskiego. Dzieła się na dwie kolumny: jedna z Goszczyńskim na czele rozstawia się po cichu na tyłach pałacu Belwederskiego, by W. Księciu przeciąć drogę ucieczki — druga pod Nabelakiem uderza na Belweder. Warty padają trupem. Spiskowcy przebiegają komnaty, przetrząsają wszystkie kąty. Konstanty przyczał się w komnatkach niewieścich i ocalał tylko skutkiem pomyłki: uciekający bowiem zausznik jego, generał Gendre, w ucieczce nabił się na oddział Goszczyńskiego; wzięto go po ciemku za Konstantego i legł przeszyty bagnietami. Rozległy się okrzyki: „Wielki Książę zabity!“ Słyszając to Nabelak, zaprzestał poszukiwań i wycofał się ze swymi z Belwederu.

Gdy się to dzieje w parku Łazienkowskim, równocześnie Szkoła Podchorążych pod wodzą Piotra Wysockiego pędzi na Solcu. W stu pięćdziesięciu rzucają popłoch na kwatery, jące tam pułki rosyjskiej gwardii konnej i podpalają na Solcu młyn, dając luną pożarną znak umówiony polskiemu wojsku, które tylko na to czekało. Wśród bicia w bębny pułki wyruszają z wszystkich koszar i zajmują najważniejsze w mieście stanowiska, naprzód już wyznaczone każdemu.

Podchorążowie i Belwederczycy połączywszy się na moście Sobieskiego i pewni, że W. Książę zginął, — ruszają przez Aleje Ujazdowskie i plac Aleksandra wznosząc okrzyki: „Do broni!“

W jednej chwili Warszawa była na nogach. W oknach migocą światła, na niebie czerwienią się luny młynów płonących na Solcu i szop zapalonych na Nowlipiu; dzwony biją na alarm, w ulicach warczenie bębnow, miarowy krok żołnierski, gwar, okrzyki. Pod

arsenałem aż mrowi się od mieszczan i młodzieży: wszyscy rozchwytuja broń...

Tymczasem wojska rosyjskie, zaskoczone niespodziewanym wybuchem, ściągają w popłochu pod Belweder. Na ich czele W. X. Konstanty, ochłonawszy po wypadkach tej nocy, wycofuje się o świcie przez Mokotów do Wierzbna, skąd potem uchodzi dalej za Bug.

W nocy z 2. na 3. grudnia wkracza do Warszawy Szembek na czele I-go pułku strzelców pieszych, który stał w Sochaczewie, nazajutrz powracają do miasta te pułki polskie, które w Wierzbnie wypowiedziały posłuszeństwo W. Księciu. Wojska narodowe z Chłopickim i Szembekiem na przedzie, przy dźwiękach pieśni Legionów Dąbrowskiego przeciągają przez Aleje Ujazdowskie, Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, witane gromkimi okrzykami. Okna i balkony przybrane kobiercami, kobiety powiewają chustkami.

Rada narodowa, która w pierwszej chwili ujęła w ręce rządy nad stolicą, rozwiązuje się ustępując miejsca Rządowi Tymczasowemu pod przewodnictwem X. Adama Czartoryskiego. Dnia 5 grudnia Chłopicki, bohater Saragossy, o-

głoszony Dyktatorem, przyjęty na placu broni okrzykami wojska i ludu: — „Niech żyje Dyktator!“

Uniesienie Warszawy nie miało granic, gdy zastępy chłopów, jak w czasach Kościuszkowskich, odświętne przybrane, z błyszczącymi kosami w ręku, zaczęły napływać z okolicy. W mieście krzątano się, by sformować V pułk strzelców i VI ułanów pod nazwą „Dzieci Warszawy“ w myśl postanowienia, by kraj podniósł stan armii narodowej do 100,000 ludzi. Prywatni obywatele, prześcigając się w ofiarności, fundowali, jak Włodzimierz Potocki, całe pułki. Na Pradze i za rogatkami Jerolimskimi ludność gorączkowo sypała szańce. Każdego dnia tłumy całe stawały do roboty. Garnęli się do niej ludzie wszelkich stanów, od możnych panów do najdrobniejszego mieszczaństwa, młodzież akademi-



Śmierć gen. Sowińskiego.

Współ. sztych niepodp. Muz. Czapskich.

cka, księża, dzieci, żydzi. Równocześnie sypały się hojnie, ciągle napływające składki na cele wojenne.

W dniu 18. stycznia 1831. generał Józef Chłopicki złożył dyktaturę, a wodzem naczelnym został X. Michał Radziwiłł; 25. stycznia sejm uchwalił detronizację Mikołaja: „Naród polski, na sejmie zebrany, oświadcza, że jest niepodległym ludem i że ma prawo temu koronę polską oddać, którego godnym jej uzna“.

Krok był przedwczesny: przedtem należało cara pobić.

Jego wojska ciągnęły już przeciwko stolicy. Dybicz w 150.000 żołnierza i 400 armat przekroczył Bug. Wojska polskie skoncentrowały się między Pragą a Siedlcami. Generał Dwernicki odniósł pod Stoczkiem zwycięstwo d. 14. lutego; 19. rozegrała się krwawa bitwa pod Wawrem; 25. na polach Grochowskich starli się Rosyanie z głównymi siłami polskimi, które bohaterski bój stoczyły o słynną „Olszynkę“.

Z chwilą, gdy dowództwo przeszło w ręce generała Skrzyneckiego, nastąpił zastój w działaniach. Dopiero 31. marca w sam W. Czwartek stoczył Skrzynecki walną bitwę pod Wawrem i Dębem Wielkim. Było to znaczne zwycięstwo. Dwadzieścia kilka ciężkich dział rosyjskich zostało na pobojowisku, ośm lżejszych armat posłano do Warszawy, której ulice widziały pochód 7000 jeńców i pęki zdobycznych sztandarów, przywiezionych przez kapitana Leskiego. W W. Sobotę odprawił biskup Prażmowski dziękczynne nabożeństwo w katedrze z hymnem *Te Deum*. Niemcewicz w *Pamiętnikach* swoich podnosi „ludzkość, którą żołnierz polski i lud w Warszawie okazali dla jeńców moskiewskich. Ranni żołnierze polscy ustępywali miejsca na wozach rannym moskiewskim a sami szli piechotą. Mieszkańcy Warszawy, przekupki, lud prosty ubiegali się z dawaniem im żywności i wszelkiego wsparcia“.

Rząd Narodowy ogłosił 24. czerwca pospolite ruszenie — w dwa dni później na placu Ujazdowskim odbyła się generalna rewia gwardyi narodowej; znamienne, że stawili się na nią nawet wszyscy tacy, których od służby zwolniono.

Korpus generała Dembińskiego, uważany już za stracony, przedostał się szczęśliwie do Warszawy 3. sierpnia, co wywołało niesłychany zapal. „Lud na kolana padał, ręce do nieba z podziękowaniem wznosił, z radości płakał, witał, okrzyki wydawał, generała nogi, strzemiona, siodło i konia całował“ — opowiada naoczny świadek S. Barzykowski.

Nieprzyjaciół zbliżał się do stolicy. Po Dybiczu, zmarłym na grasującą wówczas cholere, wziął dowództwo Paskiewicz. Armia jego wynosiła 80,000 ludzi i 390 dział, według *Pamiętników* generała Prądzyńskiego. Linia forteczna warszawska miała długości blisko dwie mile, a na jej obronę było 37.000 wojska. Zdaniem Prądzyńskiego, niemniej jak i Chłopickiego — należało raczej zastąpić drogę Paskiewiczowi, zmuszając go do bitwy w otwartym polu, gdyż Warszawa, położona w odslonionej równinie, trudna była do obrony.

W dniu 6. września Rosyanie, po daremnych propozycjach poddania miasta — przypuścili szturm, który się zakończył słynnym wysadzeniem w powietrze reduty Ordoña. Moskale zdobyli kościółek na Woli, gdzie do

upadłego bronili się napoleoński weteran, beznogi generał Sowiński z garstką nieuleknionych żołnierzy. Siwowłosy bohater padł przeszyty dziesięcioma bagnietami...

Ludność Warszawy, pomimo ciężkich niepowodzeń dnia tego, nie chciała słyszeć o poddaniu miasta. Dzienniki ówczesne jednogłośnie zachęcają do wytrwania i ludzają się, że stolica zdoła przetrzymać oblężenie.

Ale dalsza obrona okazała się niemożliwą. Dowodzący Warszawą generał Krukowiecki przedstawił sejmowi polskiemu warunki kapitulacji, ofiarowane przez Paskiewicza i został upoważniony do zagajenia rokowań. Sejm tymczasem obradował nad położeniem: poddać Warszawę, było nicuniknioną koniecznością wojenną, ale przed sejmem stawało drugie, jeszcze ważniejsze pytanie, czy po kapitulacji stolicy ma widoki powodzenia dalsza z Rosją wojna? Tego wszyscy pragnęli, to było głównym przedmiotem obrad.

Gdy jednak popołudniu rozpoczęła się ponowna kanonada dział rosyjskich, Krukowiecki, owładnięty małodusznym strachem, nie czekając na uchwałę sejmową, przekroczył w niesłychany sposób swoje pełnomocnictwo i podpisał akt bezwarunkowej *missy* całego narodu!

Sejm udzielił mu natychmiastowej dymisy, upoważniając naczelnego wodza Małachowskiego do podpisania kapitulacji Warszawy: wojsko polskie w 48 godzin miało opuścić stolicę i przewieść na Pragę wszystkie efekta wojskowe. Było to 7. września 1831. r.

— „Dzieci, kobiety, starcy, lud, w rozpacz — pisał do matki Maurycy Mochnacki — żołnierze rozpięchnieni bez ładu, artylerya, piechota, jazda, wszystko w największym nieporządku, a tu ciemno jak w wilczej jaskini. Tylko luna na niebie od pożarów, pustoszących Warszawę, ruinę naszą oświecała... Nazajutrz cała Polska na Pradze już się znajdowała — i wojsko i sejm i wszyscy uczciwi ludzie...“

W dniu 8. września armia Paskiewicza wkroczyła do opustoszałej Warszawy. Zwycięzca stanął kwaterą w Belwederze. Obdarzony tytułem księżęcym i zamianowany namiestnikiem, rozpoczął twarde swoje rządy, które zaczęły się od gromadnego wywożenia dzieci warszawskich w głąb Rosyi. Paskiewicz sprawował urząd swój do śmierci, w r. 1856.

Dok. nast.

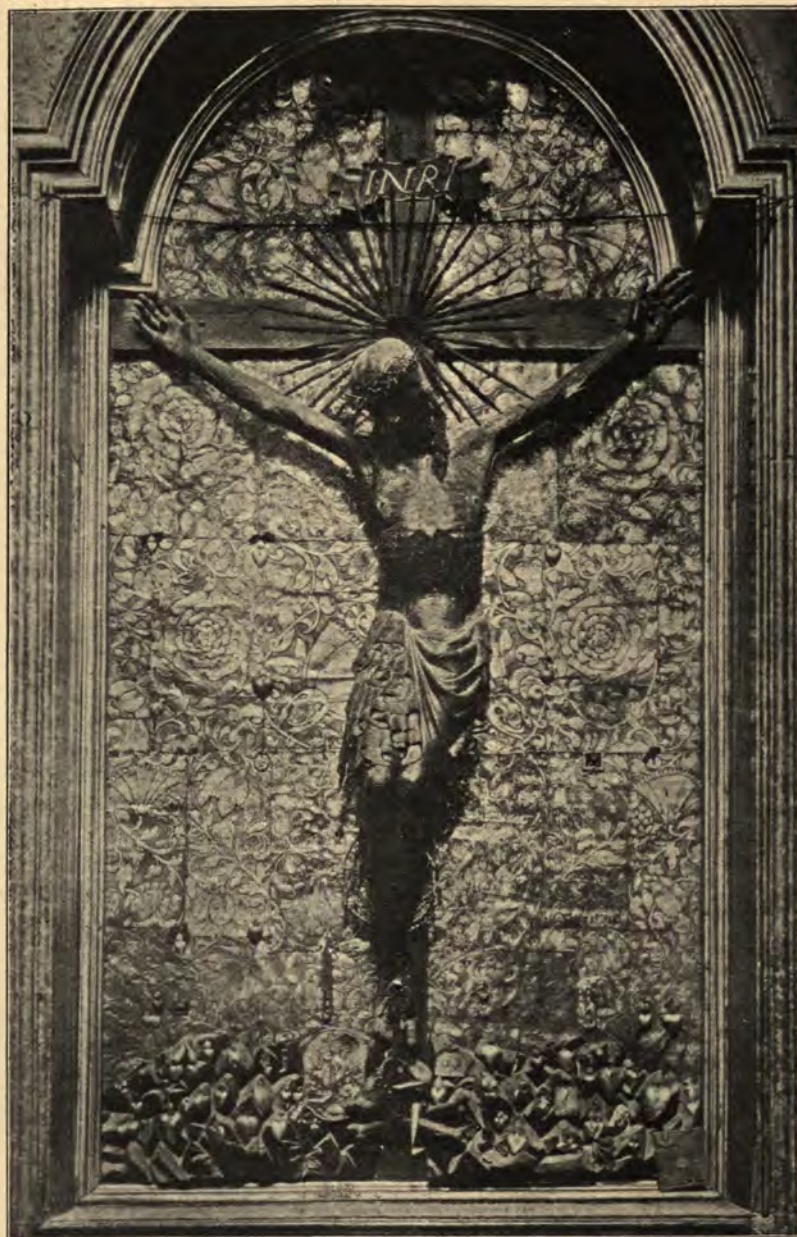
Lucyan Rydel



Lwożenie dzieci z Warszawy. w r. 1831.

Niepodpisany sztych współcz. Muz. Czapskich.

PRZED KRUCYFIKSEM WAWELSKIM



Krucyfiks na Wawelu.

Fot. z nat. Pawlikowski.

I.

O KRÓLU WSZECH BOLEŚCI, MY PODDANI WIERNI
 ZNAMY TWÓJ BÓL, GDY GWOZDZMI CZŁONKI TWE PRZEBODLI
 OKRUTNI DREZCZYCIELE, NAJGRAWACZE PODLI —
 ZNAMY BÓL OD KORONY TWEJ — UWITEJ Z CIERNI.

WIEMY, CO ZNIOŚŁEŚ, BEDĄC POŚMIEWISKIEM CZERNI,
 GDY POCHLEBCY ZDRADZILI, NIEWDZIECZNI OCHŁODLI...
 KRÓLU BOLEŚCI! BÓL NASZ DO TWEGO SIĘ MODLI,
 KTÓREMU KACI BYLI TAK NIEMIŁOSIERNI!

PRZEZ TYLE JUŻ POKOLEŃ DO CIEBIE, NASZ CHRYSSTE,
 WCIAŻ TEN SAM BÓL SERDECZNY O TO SAMO ŻEBRZE:
 Z TYLU JUŻ OCZU ŁZY TU SPŁYWAŁY SREBRZYSTE

I W PROCHU ŁKAŁY TYLU CZARNYCH SMUTKÓW CHÓRY, —
 ŻE SIĘ ŁZY SKRZEPŁE ZDAJA ŁŚNIĆ W OŁTARZA SREBRZE
 I SMUTEK — ŻE SKAMIENIAŁ W TE CZARNE MARMURY.

II.

O, KONAJĄCY W KIRÓW I SREBRA ŻAŁOBIE,
PRZYGWOŹDŻONY DO KRZYŻA NA TEJ SREBRNEJ BLASZE
I TAK ŚMIERTELNIE CZARNY, JAK NIEDOLE NASZE,
— WE ŁZACH KRWAWYCH ŻRENICE WZNOSIMY KU TOBIE!

RACZ ODERWAC OD KRZYŻA RĘCE SVOJE OBIE,
NIECHAJ NAS LITOŚCIWY TWÓJ UŚCISK OPASZE;
GORŹKĄ MY ŻÓŁCI Z OCTEM DOPIJAMY CZASZĘ,
BY WSTAĆ, BO JUŻ TWE SĄDY GRZMIĄ NA NASZYM GROBIE;

GDY POTOPEM KREW BLUZGA NA ZIEMSKIM OBSZARZE,
GDY NA OŚLEP ŚWIAT LECI W POTĘPIEŃCZE BOJE —
TWE NAD ŚMIERCią ZWYCIĘSTWO NIECH SIĘ W NAS OKAŻE!

MY, POGRZEBANI ŻYWCEM, ROZDARCI NA TROJE,
ZMARTWYCHWSTANIA CZEKAJĄC, NARODÓW ŁAZARZE,
BŁAGAMY: WSKRZESICIELU, PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE!

17. VIII. 1915.

LUCYAN RYDEL.

E. ROSZYŃCÓWNA: ROZMOWA O TEŚKNOCIE.

— Panie Józefie!

Nie odpowiedział.

— Panie Józefie...

Kurlakowski wcisnął głębiej głowę w podniesiony kołnierz od palta i ani mruknął.

Panie Józefie... — zabrzmiało po raz trzeci płacziwie i nieśmiało.

Wtedy dopiero przystanął i z niechęcią obrócił głowę w stronę, skąd dochodziło go skomlenie. Ani chybi, panna Gabryela.

Za chróścianym płotem, na zwalonym pniu, siedziało to utrapione panięskie lichy. Siedziało skulone we czworo i trzęsło się z zimna. Zsiniałe rączeta zasunęło w przykrótkie nieco rękawy kusego, granatowego paltocika, a z pod przykrótkiej, również granatowej spodniczki wysunęły się małe nogi, obute w stare, z zadartymi w górę nosami trzewiki i zatopiły się do kostek w rozmokłej, zgniłej murawie. Na głowie miała panna Gabryela czarną welnianą chusteczkę. Z pod chustki wyglądały kosmyki ciemnych włosów, mokre od mgły, śniady pyszczek z zaczerwienionym od zimna noskiem i para czarnych, spłoszonych oczu.

Za plecyma dziewczyny stały przysadziste jabłonie i grusze, zanurzone, niby w mleku, w białej mgle. Na czarnych ich gałęziach tu i ówdzie żółciły się plamy ostatnich liści. Jedno jedyne z drzew musiało być wiśnią lub trześnią, bo listki miało czerwone i podłużne jak kreski. Dalej, za pniami grusz i jabłoni, widać było plebanię, a jeszcze dalej, za bielonymi sztachetami, na kwadratowym bezbarwnym trawniku, stała biała cerkiewka w cynowym kołpaku na głowie, z zatknięciem za niego pozłocistym piórkiem.

— Dobry wieczór pannie Gabryeli — warknął niechętnie Kurlakowski.

— Dobry wieczór panu — nie wstając, wyciągnęła dziewczyna przez dziurę w płocie do mężczyzny zsiniałą rączkę. — Aż trzy razy wołałam pana.

— Nie spodziewałam się zobaczyć panią w ogrodzie — rzucił on niedbale usprawiedliwienie.

— A ja umyślnie czekałam na pana — rzekła z rozbijającą szczerością panna Gabryela. — Siedzę tu już przeszło dwie godziny.

— W taką wilgoć i chłód... Co za nierozwaga! Dziwicie się, że wuj pozwala pani na podobne wybryki.

— Wuj nie wie o tem. A przecież i pan...

Pan spojrzął od niechcenia na swoje lśniące kalosze, ciepłe palto, zawieszony na lewej ręce jedwabny parasol, a potem na kusy paltocik swej towarzyszki z za płota i na wysuwający się przez dziurkę w płocie jej popękany trzewik, i uśmiechnął się z wyższością.

— Wyjeżdżam jutro i nieprędko znowu zobaczę te kąty. Rodzaj pożegnalnej wizyty. Bądź co bądź, jest to moje rodzinne miejsce.

— Rozumiem. Czasem do pól i drzew przywiązujemy się silniej, niż do żywych ludzi... — szepnęła panna Gabryela.

Znanemi jej były dobrze, jak zresztą wszystkim w promieniu trzech mil dokoła rodzinne stosunki Kurlakowskiego: jego macocha, stara, kłótniwa czarownica z piekła rodem i sześć jego siostr, rodzonych i przyrodnych, prawdziwych kuzynek Lucypera. Trzy z nich były już starymi pannami, a wszystkie, przyrodnie i rodzone miały rudawe włosy i olśniewająco białe, piegowate twarze. Ubierały się z wyszukaną elegancją w czarne suknie i buciki z lakierowanej skóry i klóciły się ze sobą i matką od rana do wieczora. Przyjazd brata był kamieniem, rzuconym w mrowisko kąśliwych, rudych mrówek. Aptekarz z pobliskiego miasteczka, który przypadkiem znajdował się na dworcu kolei żelaznej, kiedy pani Kurlakowska witała przybyłego pasierba, widząc to, sprowadził czempredziej niebywale wielki zapas bromu. Po miesiącu pobytu młodego pana u macochy, musiał aptekarz oświadczyć przybyłemu posłańcowi ze dworu, że bromu zabrakło. Dwa proszki z całego zapasu kupiła pani starościna, która dwa razy pokłóciła się z mężem, jeden panna Józefa, bona od pani poborcowej podatkowej, która, skosztowawszy smak jego koniuszkiem języka, za nic w świecie zażyć go nie chciała, ale jako oszczędna osoba, użyła go najbliższej niedzieli jako pudru na twarz i szyję — zaś resztę zapasu wyżyły panienki ze dworu. Pannę Józefę tejże niedzieli zobaczył w kościele na sumie pan likwidator podatkowy i olśniony jej niezwykle białą płącią, zakochał się w niej bez pamięci. Całą tę historię sły-

szala panna Gabryela z własnych ust aptekarza, kiedy kupowała w aptece w miasteczku truciznę na mole dla wuja. Aptekarz, kręcąc i mieszając według recepty wuja truciznę w porcelanowym słoiku, opowiadał tę historię panu rządcy z Kawczego Kąta.

— Niechaj mnie pani tylko nie posądza o sentyment. Poprostu przyjemniejszą jest taka przechadzka po błocie, niżli wojna z babami, o, przepraszam — tu skłonił się lekko w stronę jegomościęgo plotu — z damami.

Panna Gabryela już od chwili wyłamywała palce ze stawów, gryzła wargi, uderzała raz po raz płochliwemi oczyma w chłodną twarz towarzysza, wreszcie wybuchnęła:

— Pójdę z panem! Dobrze? Proszę, niech mię pan ze sobą zabierze!

— Z deszczu pod rynnę... — mruknął sam do siebie Kurlakowski.

Pana Gabryela usłyszała tylko pierwsze słowa.

— Deszczu nie będzie.

— Wuj... — próbuje jeszcze protestować Kurlakowski.

— Co mi tam wuj!

— Zanim pani obejdzie dokoła plebanię i cerkiew, zmierzchnie się.

— Ja też plebanii i cerkwi obchodzić nie będę. Przeskoczę do pana przez płot. Proszę, niech się pan odwróci.

Odwrócił się posłusznie, nie dość jednak szybko, by nie ujrzeć dyndających na płocie nóg panny Gabryeli w pięknie czerwonych pończochach.

— Nie dziw, że to brodzi z upodobaniem po błocie... Znane bocianie obyczaje — mruknął zgryźliwie.

Pękl jeden i drugi kół, posypało się do rowu sporo chróstu z płotu, do dwu ogromnych dziur w płocie przybyły trzy mniejsze i panna Gabryela, trzymając w garści naddartą spódniczkę, znalazła się szczęśliwie za płotem.

— Proszę, niech się pan nie patrzy... Niech pan idzie naprzód. Ja zaraz podążę za panem.

Kurlakowski, nie protestując, poszedł przodem. Panna Gabryela naprzód zgrabiłemi rączynami i cierniem, wyciągniętem z płota, pracowicie zczepiła rozdartą spódniczkę, potem odgarnęła z czoła wilgotne strączki włosów, których podczas przeprawy przez płot całe mnóstwo wysunęło się z pod wełnianej chusteczki, obciągnęła kusy paltocik i pobięła za niknącą we mgle o kilkanaście kroków przed nią wysoką i wykwintną sylwetką Kurlakowskiego.

Poszli oboje krajem wiejskiej drogi, błotnistej, żółtej od gliny. Przodem Kurlakowski, zły i zgarbiony, zanurzył głowę w podniesiony kołnierz od palta i wybijał dobitnie półmilowe kroki, a za nim skulona, w obłocnych trzewikach, drepce panna Gabryela. Zasunęła ręce w przykrótkie rękawy paltocika, zadarła w górę jak wróbelek głowę i nadstawia Kurlakowskiemu to z za prawego to z za lewego ramienia ściągniętą od zimna twarzyczkę.

— Więc to już jutro?...

— Co jutro?

Pan wyjeżdża...

— Tak. Już i tak za długo trwały wiejskie wywczasy. Co dnia otrzymuję ze stolicy listy alarmujące mnie o powrót.

— Smutno będzie bez pana...

— Idź do dyabła—zgryźł Kurlakowski między zębami.

— Co proszę?

— Nic. Pytam się tylko, czy często pani tak po błocie spaceruje?

— Kiedy mi w domu zbyt smutno, albo kiedy się z wujem pokłóce, uciekam zawsze w pole, by się wicherem i wierzbom poskarżyć — pociąga noskiem panna Gabryela.

— Aha, wiatru pani w polu szuka — domyśla się zgryźliwie Kurlakowski.

— Oj, wiatru — wdycha głęboko, ani przeczuwając złej intencji, Gabryela.

— A co do wierzb, to lepiej niech je pani w pokoju zostawi, bo tam w dziuplach przyczajone dyabły siedzą.

— Pan całkiem o tych dyabłach, jak wuj. Dyabeł tu, dyabeł tam! Dyabeł wieczorem za wrotami czatuje na wiejskie dziewczęta, dyabeł im co niedziela w karczmie muzykę urządza i hołupce wycina, dyabeł w każdej księżce siedzi... Dziw tylko, że kopyt i rogów z kartek nie nastawia. Dyabeł uszył trzewiki pana sióstr z lakierowanej skóry, na wysokich obcasach — dyabeł zmałstrował mój nowy kapelusz ze strusiem piórem.

— Ten bajeczny gainsborough z szafirowego aksamitu?

— Tak. Wuj chciał mi go przystroić bukietem swoich najpiękniejszych zeszlorocznych nieśmiertelników, fioletowych i żółtych, potem dawał mi czerwone róże, które kupił w mieście dla przystrojenia świec na wielkim ołtarzu, potem cztery największe zasuszone motyle ze swego zbioru, wreszcie wypchaną krasowronkę ze swej kancelaryi. Ręce mu się trzęsły, usta drżały i omal nie płakał, ale dawał... Nie chciałam... Uparłam się, że muszę mieć białe strusie pióro, nie jadłam obiadu, dałam się i płakałam tak długo...

— Aż wuj pani kupił pióro.

— Tak. Wprawdzie wuj zakazał mi w tem piórze pokazywać się w cerkwi, a przynajmniej kazał mi za rajskimi wrotami między ludem stawać. Ale ja i tak rzadko zaglądam do wujowej cerkwi. Zawsze chodzę na sumę do Żulina do kościoła. Wiadomo panu, że jestem Polką. Kiedy weszłam zaprzeszłej niedzieli w tym kapeluszu do kościoła, to — czy uwierzy pan? — ksiądz kazanie w pół słowa przerwał i oniemiał na chwilę. Ze trzy minuty nie mógł dobyć głosu. Cały kościół patrzył się na mnie. Nawet panna Ottylia, siostra pana, obróciła głowę w moją stronę i trąciła łokciem pannę Felicję, także siostrę pana, tylko najstarszą, by się na mnie popatrzyła. Stara Kowalicha, zobaczywszy mię znięcka zmrokiem, gdym z niesporu wracała, przeżegnała się.

— Nielada sukcesy! — roześmiał się Kurlakowski.

— Albo, wracając do dyabła, te nasze przechadzki po lesie... Wymykam się. Wuj w furtce za spódnicę mię przytrzymuje. Za czem po lesie uganiać się będziesz — powiada — malin i grzybów już niema. Muchomory tylko. A po leśnych ścieżkach zły sobie spaceruje... Przdybie ciebie, zaciągnie w mocarzyska i będziesz do rana, jak żaba, kumkała w błocie... Ja w śmiech! To tylko wujowi raz tak się przydarzyło, gdy z kulawym diaczkim obaj ze sąsiedniej wsi ze stypy piechotą przez las wracali. Diaczek bił się w piersi i zaklinał się, że w szuwarze dokoła nich przez całą noc tańczyły rusalki i zapraszały ich do tańca. A suknie miały uszyte z mgły i takie waziutkie, że za każdym ruchem się darły. A wuj wcale nie zaprzecza. Aha, bo się popili wtedy obaj z diaczkim... A wuj jeszcze powiada, że dyabeł niezawsze jest ogoniasty i rogaty; niekiedy dla niepoznaki chadza w modnym surducie i w skórkowych rękawiczkach...

C. d. n.



DOKUMENTY WSPÓŁCZESNE.

— „Szczęśliwe narody, które nie mają historii“ — powiada znane i niestety aż nazbyt prawdziwe zdanie. Nam przypadło żyć w czasach wielkich — w całym znaczeniu słowa, historycznych, co jest może bardzo zaszczytne, ale — jak wszyscy wiemy z doświadczenia całorocznego — mniej przyjemne.

Wśród powszechnych, a w takiej dobie dziejowej nieuniknionych utrapień, kłopotów i tarapatów, nie każdy może dość jasno zdaje sobie sprawę z tego, że kiedyś przyszłe pokolenia ciekawe będą najmniejszych nawet szczegółów i drobiazgów, które nam niemal, że już spowszedniały i wobec wielkich wypadków zdają się nam być pospolite i blahe, a jednak w rzeczywistości staną się kiedyś przyczynkiem nader znamienym do poznania naszej epoki.

Nie dziw tedy, że słyszymy czasem o gromadzonych tu lub ówdzie zbiorach i archiwach, o prowadzonych z dnia na dzień zapiskach i raptularzach, ba nawet i wyczerpujących pamiętnikach. Wszystko to w przyszłości nabierze doniosłego znaczenia i nieocenionej wagi, stanie się historyczno-obyczajowym dokumentem dzisiejszej chwili. Słysz się częstokroć i nie bez słuszności o wojnach Napoleońskich, że w całej swojej heroicznej wspaniałości i rozmachu epicznym są jednak, w porównaniu do terażniejszej światowej zawieruchy, tylko burzą w szklance wody. A przecie do niedawna, z takim zaciekawieniem spozieraliśmy na wszystko, co bezpośrednio było świadectwem tych czasów i tych ludzi z przed stu lat. Jak błąd i szary, niedokrewny i karłowaty wydawał się nam wtedy schyłek XIX i początek XX wieku. Nagły cyklon tyłu naraz i tak okropnych wojen, szalejący nad Europą, dokonał tego, że czasy Napoleona zbladły nam i zmalały w oczach — i sprawił, że my, skarżący się nieraz na nikłość, powszedniość i pospolitość naszej doby, stoimy teraz wobec niej oszołomieni jej bezmiernym tragizmem, przywaleni jej niepojętym ogromem.

Niezawodnie tedy za sto lat będą ludzie nieporównanie skwapliwiej i ciekawiej oglądali i badali pamiętki i pozostałości naszych czasów, niż my zabytki epoki Napoleońskiej.

Na pokaz, jak zajmujące mogą być te drobiazgi z dni dzisiejszych, jak wymowne są świadectwem naszych wyobrażeń, pojęć, przekonań, upodobań i zwyczajów codziennych, przynosimy dziś w „Tygodniku Polskim“ zupełny zbiór wszystkich odznak, jakie się u nas od początku wojny pojawiły. Jakże różne są między sobą kształtem, stylem, artystyczną wartością, a każda z nich jest plastycznym symbolem jakiegoś momentu, w tym wielkim, na zawsze pamiętnym roku, tak, że się z nich składa jakby kronika wszystkiego, cośmy przeżyli.

Inny zgoła, jedyny w swoim rodzaju przyczynek do historii współczesnych poglądów politycznych, przedstawia zamieszczona obok rycina. Jest ona wiernym powtórzeniem tytułowej karty słynnego zbioru dokumentów i aktów politycznych, p. t. „Księga tęczowa Narodu Polskiego“. Jak wiadomo, państwa publikują razem takie zbiory dokumentów, odnoszące się do jakiejś jednej sprawy i od koloru okładki wydawnictwa tego rodzaju noszą nazwę Księgi Białej, Błękitnej, Zielonej i t. p. Księga Tęczowa nie jest wszelako taką publikacją na seryo, choć na nią złożyły się akty polityczne niewątpliwie autentyczności: jest ona raczej bardzo do wciwnem i zręcznym zestawieniem dokumentów rosyj-



sko-polskich ostatniej doby, a ma na celu zdjęcie bielma z oczu tym, którzy jeszcze ludzą się szczerością rosyjskich przyrzeczeń, zawiera bowiem zbiór obustronnych memoriałów, proklamacyj, okólników rządowych, przemówień w Dumie itd., które jawnie przeczą jedne drugim i nawzajem się unicestwiają. Kameleonowa zmienność afektów rosyjskich względem Polski, ujawnia się tam w całej pełni, stąd nazwa Księgi Tęczowej,

choć nie okładka, tylko raczej treść, mieni się za każdym obróceniem kartki. Zjadliwą ironię publikacyi podkreśla i w świetle właściwym stawia tytułowy rysunek, wyobrażający „Gruszki na wierzbie“.

Cała prasa polska żywo zajmowała się Tęczową Księgą, że zaś należy ona już obecnie do bibliograficznych rzadkości, przeto nie omieszkaliśmy pokazać ją naszym czytelnikom.

Civis.



TEATRY POLSKIE PODCZAS WOJNY.

II.

W innych zupełnie warunkach znalazły się Lwów i Kraków. Stolica Galicji, najpierw ogarnięta zawieruchą wojenną, zamknęła na długo podwoje teatru miejskiego. Słabe tylko życie pulsowało w czasie pobytu Rosyan początkowo na scenie przypadkowej, później już w teatrze miejskim, gdzie jednak tylko operetka wiodła żywot jaki taki, przerwany ofensywą zwycięską sprzymierzonych armii. Dopiero od 16. lipca b. r. dyr. Heller rozpoczął nową kampanię teatralną we Lwowie, choć w bliskim oddaleniu huczały jeszcze armaty na froncie bojowym.

Bardziej też interesującym był sezon wiedeński teatru „lwowskiego“, grającego przy udziale sił aktorskich zgromadzonych z różnych scen. Na pochwałę trzeba zaznaczyć, iż był to sezon polskich autorów w Wiedniu, sezon bardzo znużony i ciężki pod względem finansowym, nie mniej jednak pod względem moralnym i artystycznym dodatni. Polska muza teatralna musiała wieść żywot iście koczowniczy, bo aż na trzech scenach kolejno, była jednak zawsze wymowna i interesująca.

W równie ciężkich warunkach znalazł się Kraków. Wojna stanęła o kilka kilometrów pod jego murami i biła buławą popłochu w nerwy mieszkańców, wypłaszając ich z murów grodu podwawelskiego. Teatr miejski po kilkotygodniowej próbie zamilknął. Na teatralnych fotelach i deskach spali rezerwiści. Scena ludowa po krótkich próbach życia, uciekła całkiem na kilka miesięcy. Jednak życie upomniało się o swoje prawo. Teatr miejski po szczęśliwych próbach, wykonanych w „Nowościach“, przeniósł się napowrót do gmachu Słowackiego, gdzie repertuar płynie szlakiem „ugodowym“, dostosowanym do potrzeb chwili. Wielkie tony zamilkły — swawolna, krotocwilna muza najlepiej czuje się w gorączkowym, wojennym okresie.

Najciekawszymi premierami ostatniej doby niezapreczenie były Perzyńskiego „Dzieje Józefa“ i „Kawiarenka“ Tristana Bernarda.

W momencie najsilniejszej depresji twierdza krakowska gotowała się do ścisłej ewakuacji, grożącej przymusowym opuszczeniem miasta całemu szeregowi aktorów, należących do różnych scen polskich. Wówczas zorganizował teatr ludowy dr Tadeusz Konczyński,

uporał się z trudnościami, zgromadził wyborny zespół i od trzech miesięcy prowadzi drugą scenę w Krakowie, scenę zdobywającą coraz większe uznanie publiczności i krytyki.

Kraków może być dumny z tego, iż w okresie najcięższym, wojennym, pracują niezamordowane w jego murach dwie sceny — teatr miejski i teatr ludowy.

Obraz nie byłby pełny, gdybyśmy nie wspomnieli, iż zarówno na Śląsku, na Morawach jak i w Pradze, zespoły polskie, amatorskie i zawodowe, dały cały szereg przedstawień, cieszących się mniejszym lub większym powodzeniem, bądź co bądź jednak świadczących o niezniszczalnej wprost energii naszego społeczeństwa, które wśród pogromu uniosło ze sobą ze swych pieleszy iskry ognisk narodowych i wśród obcych czuło potrzebę usłyszenia swej mowy publicznie... w blasku lamp cudzych teatrów.

Również w Poznaniu zespół miejscowych sił amatorskich grywa stale w niedziele i święta w Domu Św. Jadwigi, przechowując w ten sposób na deskach swej małej sceny znicz uniesiony ze stałego teatru.

Ogólny bilans teatrów wszystkich w Polsce jest dodatni. Aczkolwiek wysokie struny musiały zamilknąć, gdyż jak mówi przysłowie łańskie, „w czasie wojny milczą muzy“ — to jednak wiele teatrów pracowało wśród huku armat i zmiennych wieści wojennych, z nieustrudzoną energią, inne zaś, choć przycichły na chwilę jak teatr lwowski, w okolicznościach przychylnych na nowo stanęły do pracy.

Krytyczny rok przetrzymują muzy polskie z trudem wielkim (z wyjątkiem Warszawy); tem większą zasługą ich, że nie ustępowały inaczej jak tylko pod ostatecznym mussem, a gdzie tylko można było grać na strunach, grały dalej z zapałem, choć w tonie minorowym i choć nieraz w melodye ich wdzierał się huk daleki armat, jak się to działo przez trzy tygodnie w Krakowie.

Burza wojenna nie zamordowała muz polskich — przeciwnie, nauczyła je odporności, ujawniła ich siły żywotne i moc ich kulturalną, objawiającą się w potrzebie i konieczności istnienia. To plus naszej energii narodowej bądź co bądź interesującej i poważnej.

M. Donimirski.